

**BILL RODGERS  
i MATTHEW SHEPATIN**

# MARATOŃCZYK

*Moja 42-kilometrowa droga  
od anonimowego biegacza  
do szczytów sławy*



GALAKTYKA

Tytuł wydania oryginalnego: *Marathon Man*

Copyright © 2013 by Bill Rodgers and Matthew Shepatin

Wydanie polskie © 2014 by Galaktyka sp. z o.o.

Wszelkie prawa zastrzeżone  
All rights reserved

90-562 Łódź, ul. Łąkowa 3/5  
tel. +42 639 50 18, 639 50 19, tel./fax 639 50 17  
e-mail: [info@galaktyka.com.pl](mailto:info@galaktyka.com.pl); [sekretariat@galaktyka.com.pl](mailto:sekretariat@galaktyka.com.pl)  
[www.galaktyka.com.pl](http://www.galaktyka.com.pl)

ISBN: 978-83-7579-348-2

Konsultacja: *Krzysztof Dołęgowski*  
Redaktor prowadzący: *Marek Janiak*  
Redakcja: *Bogumiła Widła*  
Redakcja techniczna: *Marta Sobczak*  
Korekta: *Lidia Kowalczyk*

Zdjęcie okładkowe: *Michael Maher*  
Projekt okładki: *Artur Nowakowski*

Skład: *Garamond, Łódź*  
Druk i oprawa: *Drukarnia na Księżym Młynie*

Księgarnia internetowa!!!  
Pełna informacja o ofercie, zapowiedziach i planach wydawniczych  
Zapraszamy  
[www.galaktyka.com.pl](http://www.galaktyka.com.pl)  
e-mail: [info@galaktyka.com.pl](mailto:info@galaktyka.com.pl); [sekretariat@galaktyka.com.pl](mailto:sekretariat@galaktyka.com.pl)

Wszelkie prawa zastrzeżone. Bez pisemnej zgody wydawcy książka ta nie może być powielana w częściach, ani w całości. Nie może też być reprodukowana, przechowywana i przetwarzana z zastosowaniem jakichkolwiek środków elektronicznych, mechanicznych, fotokopiarskich, nagrywających i innych

## SPIS TREŚCI

|   |     |
|---|-----|
| PROLOG .....                                  | 11  |
| 1. NAUKI AMBY'EGO BURFOOTA .....              | 20  |
| 2. CAŁE DWADZIEŚCIA MIL .....                 | 43  |
| 3. WIATR ZMIAN .....                          | 58  |
| 4. WYŚCIGI DO KOSTNICY .....                  | 71  |
| 5. ŚLEPY ZAUŁEK PRZY WESTLAND AVENUE .....    | 82  |
| 6. NA SZPITALNYM AFISZU .....                 | 94  |
| 7. POTĘGA SZMARAGDOWEGO NASZYJNIKA .....      | 104 |
| 8. POJEDYNEK NAD SREBRNYM JEZIOREM .....      | 116 |
| 9. BYLE DO HEARTBREAK HILL .....              | 129 |
| 10. BOSTON, MÓJ DOM .....                     | 144 |
| 11. SAN BLAS .....                            | 157 |
| 12. WYŚCIG PO MIKSER .....                    | 172 |
| 13. WILL-A .....                              | 183 |
| 14. POJEDYNEK W MAROKU .....                  | 197 |
| 15. NIE POTRAFIĘ BIEGAĆ TAK SZYBKO .....      | 206 |
| 16. Z BOSTONU PRZEZ ENSCHEDE DO FUKUOKI ..... | 217 |

|                                      |     |
|--------------------------------------|-----|
| 17. ELIMINACJE .....                 | 228 |
| 18. STOPY, NIE ZAWIEDŹCIE MNIE ..... | 237 |
| 19. STARCIE W NOWYM JORKU .....      | 248 |
| 20. WIĘCEJ NIŻ SKLEP Z BUTAMI .....  | 258 |
| 21. WIELKA FAŁA .....                | 266 |
| EPILOG .....                         | 282 |
| GODNE POLECENIA .....                | 286 |
| PODZIĘKOWANIA .....                  | 287 |

*Jeśli nie dajesz z siebie wszystkiego,  
to znaczy, że marnujesz swój talent.*

– STEVE PREFONTAINE

*Długi bieg zmienia kota w tygrysa.*

– BILL SQUIRES, mój trener

# 15 NIE POTRAFIĘ BIEGAĆ TAK SZYBKO

---

21 kwietnia 1975  
Boston, Massachusetts

Nie pamiętam całego mojego czterdziestodwukilometrowego biegu po zwycięstwo, ale nigdy nie zapomnę zakrętu na Boylston Street, wychodzącego na ostatnią prostą; tych tysięcy ludzi buchających wrzawą niczym wulkan, który nie jest już w stanie dłużej wytrzymać ciśnienia i eksploduje wezbraną falą emocji. Wielu biegaczy publicznie podkreślało, że prosta na Boylston Street, kończąca się linią mety przy Prudential Center, jest najwspanialszym odcinkiem trasy w historii maratonów. Nie sposób się z tym nie zgodzić.

„Jak we śnie” – te słowa chyba najlepiej oddają to, jak się czułem, biegnąc przez wąski przesmyk pośród morza kibiców, szczelnie wypełniającego każdy skrawek ulic i chodników. Podałem się wszechobecnemu szaleństwu. Dałem się ponieść ekstatycznej fali dźwięków. Unoszony energią tłumu, płynąłem do mety. Czułem się szczęśliwy i spełniony. To była najbardziej ekscytująca chwila w moim życiu.

Linię mety pokonałem nieświadomy tego, że Jack McDonald – były akademicki biegacz na milę, który pewnego wieczoru w szatni w Boston College, przy piwie, wraz z sześcioma innymi facetami założył nasz mały klub biegowy – wdrapał się na drzewo, żeby zobaczyć, jak zrywam taśmę. „Wtem, z wysokości mojego stanowiska na drzewie widzę go, biegnącego Boylston Street. Krzyczę i próbuję klaskać tak, żeby nie spaść z drzewa” – wspomina McDonald. „Bo przecież ja znam tego faceta! To mój przyjaciel! Dwa dni temu piłem z nim piwo! To było niezapomniane przeżycie”.

Na mecie odmeldowałem się dwie minuty przed kolejnym biegaczem. W ostatnich chwilach czterdziestodwukilometrowej eskapady myślałem o Amby, który jako pierwszy zainspirował mnie do biegania maratonów. Cieszyłem

się, że mój dawny współlokator pamiętnej niedzieli wyciągnął mnie z łóżka na ponadtrzydziestokilometrowy bieg ścieżkami wokół kampusu. On dobrze znał piękno i magnetyczną siłę długich dystansów i komunikował ją poprzez swoje postępowanie oraz podejście do życia. Nauczył mnie zarazem, że aby osiągnąć sukces w maratonie, potrzeba pasji jego mentora, Johnny'ego Kelleya, odwagi bosonogiego Abebego Bikili, Lwa z Etiopii, i poświęcenia, którego sam był najlepszym wzorem.

Finiszując, myślałem też o moim bracie, Charliem, który troszczył się o mnie od dziecka, a tego wyjątkowego dnia zabrał mnie na start biegu do Hopkinton, w try miga kupił rękawice, które ogrzały moje zmarznięte dłonie, a potem podawał wodę na trasie. Charlie opowiadał, że tuż po tym, jak na Heartbreak Hill poradził mi, żebym zwolnił, pognął ze swoim przyjacielem na linię mety. Nie miał pojęcia, czy będę w stanie utrzymać takie tempo, więc stał na palcach i niecierpliwie wypatrywał mojego pojawienia się. Gdy wreszcie zobaczył, jak wypadam na Boylston Street, aż podskoczył z radości i po raz pierwszy pomyślał: „Rany boskie, on naprawdę wygra!”

Myślałem o Ellen – kochającej, wyrozumiałej i płacącej rachunki; o trenerze O'Rourke'u, któremu zawdzięczam pierwszy zastrzyk pewności siebie, o Billym Squiresie z jego zwariowanymi i genialnymi zarazem treningami. Myślałem o Tommym Leonardzie oraz jego drinkach – morskiej bryzie i błękitnym wielorybie – o zawsze gościnnym, ciepłym schronieniu dla zmaltretowanych biegaczy, walczących na ulicach miasta o szacunek dla swojej pasji. O Jocku Semple'u, który podrzucał mnie na biegi swoim samochodem, okrzykami zagrzewał do walki na trasach wyścigów i udzielał cennych rad w klinice sportowej w Boston Garden. O kolegach z zespołu, którzy dzień w dzień motywowali mnie podczas biegów i po ciężkich treningach podnosili na duchu przekąskami, napojami i śmiechem. I wreszcie o starym kumplu Jasonie, któremu na ostatnich kilometrach udało się dogonić mnie na rowerze i dodać mi otuchy.

Przez ostatnie pięćdziesiąt metrów wyścigu miałem wrażenie, że lecę – łokciami niemal ocierałem się o ludzi ściśniętych jak sardynki w wąskiej alejce – krzyczących, klaszczących, dopingujących. Zerknąłem na buty, niosące mnie po zwycięstwo. Tak, w jakimś sensie Steve Prefontaine też przyczynił się do tego sukcesu. Jego prezent miał w tym triumfie wkład równy dopingowi tłumu. Jak to ujął Edison? „Sukces to jeden procent natchnienia i dziewięćdziesiąt dziewięć procent wypocenia”? W maratonie jest na odwrót. Natchnienie to podstawa.



Zerwanie taśmy wyzwoliło atomową eksplozję okrzyków. A gdy taśma spłynęła mi do stóp, zobaczyłem Ellen, jak skacze z radości. Wtedy wiedziałem już na pewno, że wygrałem. Co prawda nie miałem pojęcia, czy zmieściłem się w planowanym czasie dwóch godzin i piętnastu minut, ale byłem zbyt zaaferowany tym, co działo się wokół, by zwrócić na to uwagę.

„Gdy tylko Billy przebiegł przez linię mety, uściskałem mojego kumpla, a potem zaczęliśmy skakać i drzeć się na całe gardło. Stojący nieopodal ludzie na pewno pomyśleli, że jesteśmy stuknięci. Po chwili zacząłem przedzierać się przez szalejącego, nieokiełznany tłum, żeby dopchać się do podium” – wspomina Charlie.

W międzyczasie Amby Burfoot gnał ile sił w nogach, żeby zdążyć na ceremonię dekoracji. Dotarliszy do Prudential Center, napotkał osamotnioną Ellen. Wziął ją za rękę i przeprowadził do mnie przez kordon policjantów i dziennikarzy.

W tej samej chwili moja matka, pielęgniarka w dziecięcym szpitalu, jechała do domu z moją siostrą. W radiu nadano komunikat, że niejaki William Rodgers wygrał maraton w Bostonie. Z wrażenia prawie zjechała z drogi.

Jeśli chodzi o mojego ojca, to właśnie prowadził egzamin na politechnice Hartford State, gdzie był profesorem inżynierii mechanicznej. Lekko poirytowanym tonem powiedział swoim studentom: „Mój syn biegnie dzisiaj w tym zwariowanym maratonie”. Jego zdaniem było to dziwaczne i zapewne ryzykowne przedsięwzięcie. Gdy następnego dnia przyszedł na zajęcia, wszyscy studenci wymachiwali gazetami z relacją z mojego bostońskiego zwycięstwa. Zabawne.

Na podium zostałem udekorowany laurowym wieńcem jako pierwszy Bostończyk od czasu Johna „Starszego” Kelleya, który triumfował w 1945 roku. Pałeczka została przekazana. Kiedy nakładano mi laur, z tłumu wyskoczył Charlie, wykrzykując moje imię. Mamy zdjęcie, jak trzymamy się za ręce i śmiejemy ze szczęścia.

– Pobiliś rekord Ameryki! Twój czas to dwie godziny dziewięć minut i pięćdziesiąt pięć sekund! – obwieścił Charlie.

– To niemożliwe – zaprzeczyłem. – Ja nie potrafię biegać tak szybko. Po prostu nie potrafię.

A jednak poprawiłem własny rekord życiowy w maratonie o dziesięć minut. Wydawało mi się to nieprawdopodobne. Byłem w głębokim szoku.

Otoczyli mnie najbliżsi – Ellen, Amby, Charlie, Jock Semple, Tommy Leonard, trener Squires i koledzy z zespołu GBTC. Czulem się, jakbym wrócił do domu. Nie posiadaliśmy się ze szczęścia. Byliśmy jak jeden zgrany zespół biegaczy Nowej Anglii. Miałem wręcz kosmiczny odlot.



Chwila, w której zakładano mi na głowę wieniec; taki sam, jakim zdobyto głowy sześciokrotnego triumfatora maratonu Clarence'a DeMara, Tarzana Browna, Johna „Starszego” Kelleya, Johnny'ego „Młodszy” Kelleya, a teraz moją – człowieka znikąd, nieznanego absolwenta bostońskiej uczelni, była niesamowita. Owszem, całymi miesiącami trenowałem i marzyłem o zwycięstwie. Ale gdy stałem na podium, zastanawiałem się, czy to wszystko aby naprawdę się wydarzyło – osiągnąłem czas 2:09:55, w owym czasie czwarty najlepszy wynik na świecie. Trochę niespodziewanie dla samego siebie pobiegłem maraton tak, jak zawsze chciałem go pobiec, a wygrana napawała mnie dumą. Właśnie tak się czułem.

Do zdjęć pozowałem ze zwyciężczynią w kategorii kobiet – Liane Winter, Niemką górującą nade mną wzrostem i posturą. Podczas fotografowania pomyślałem, że powinienem pogratulować jej zwycięstwa. Uśmiechnąłem się szeroko i powiedziałem: „Miałaś świetny czas. Na pewno jesteś bardzo zadowolona”. Odwróciła się do tłumacza i powiedziała coś po niemiecku. Po chwili tłumacz zwrócił się do mnie: „Powiedziała: »Jestem. Ale czy mógłbyś zorganizować jakieś piwo? Bardzo chętnie napiłabym się piwa«”.

Jej prośba kompletnie mnie rozbroiła. Ale biegacze właśnie tacy wtedy byli – do bólu szczerzy i pragmatyczni. „Super, oboje wygraliśmy maraton w Bostonie. Napijmy się więc i uczcijmy to!”

Szybko zaprowadzono mnie do zaimprovizowanego pomieszczenia dla mediów, urządzonego w podziemiach Prudential Center. Tam zaś osaczyły mnie setki lamp błyskowych i horda dziennikarzy. Wszyscy wykrzykiwali w moim kierunku jakies pytania, a ja tylko siedziałem z rozanieloną miną i zielonym wieniec na głowie.

– Pobiegłeś maraton w dwie godziny dziewięć minut i pięćdziesiąt pięć sekund, pokonałeś wynik Franka Shortera i ustanowiłeś nowy rekord Stanów Zjednoczonych. Jak się z tym czujesz?

– Jesteście pewni, że ustanowiłem nowy rekord? Dwie godziny dziewięć minut i pięćdziesiąt pięć sekund? Naprawdę? To niemożliwe, ja nie potrafię tak szybko biegać. Absolutnie nierealne. To wszystko chyba mi się śni.

Odpowiedzią był gromki śmiech, ale ja mówiłem to na poważnie. Ta chwila była zupełnie abstrakcyjna.

Mam zdjęcie, jak leżę na plecach i śmieję się w głos. W Bostonie była bowiem tradycja, zgodnie z którą podolog zdejmował maratończykowi buty i skarpety, po czym robił zdjęcie stóp. Wtedy traktowano to na poważnie – chodziło o pokazanie pęcherzy i odcisków. Zwyczaj sprzed epoki. Dziś absolutnie nikt cze-

goś takiego nie robi, ale tamtego dnia było mi wszystko jedno. Miałem głowę w chmurach.

Lekarz zdjął moje bostony '73 od Prefontaine'a. Nie miałem ani jednego pęcherza. Dla Nike to mogła być świetna reklama.

Reporterzy zasypywali mnie gradem pytań.

– Dlaczego czterokrotnie zatrzymywałeś się po wodę?

– Nie potrafię pić w biegu.

Znów śmiech.

– Przystanałeś też, żeby zawiązać sznurówkę?

– Tak. Na Heartbreak Hill. To dobre miejsce, żeby chwilę odsapnąć.

Ponownie wybuchnęli śmiechem.

– Co teraz zamierzasz robić?! – krzyknął ktoś.

– Pójdę do Eliot Lounge i zamówię błękitnego wieloryba.

Kolejna fala śmiechu. A przecież nic a nic nie kłamałem. Nie wybierałem się do Disneylandu. Chciałem iść do Eliot Lounge i uczcić zwycięstwo z Tommym i przyjaciółmi.

Nie przyszło mi to wtedy do głowy, ale powinienem zaprosić tam także Liane Winter – na hefeweizena.

Tego wieczoru w Eliot Lounge nikt nie mógł spokojnie usiedzieć. Pamiętam, że razem z Ellen byliśmy w stanie dziwnego zawieszenia. Otoczony przyjaciółmi i bliskimi, dosłownie promieniałem szczęściem. Celebrowanie zwycięstwa w małym klubie, klubie biegaczy, z wiszącymi na ścianach zdjęciami herosów tego sportu, było idealnym ukoronowaniem dnia. Jakaś częśćka mnie pragnęła wyrwać się i zrobić rundę przez całe miasto, by dziękować wszystkim razem i każdemu widzowi z osobna za to, że tak niesamowicie dodawali mi sił w biegu po zwycięstwo. Myśl była miła sercu, ale przypuszczam, że zmęczone nogi nie pozwoliłyby mi na jej realizację.

Choć w lokalu panował tłok, to większość gości stanowili miejscowi biegacze. Było wspaniale – śmialiśmy się do rozpuku. Był wśród nas Johnny „Młodszy” Kelley, którego udało mi się wtedy lepiej poznać. Obecność Johnnynego dodała imprezie isticie nowoangielskiego sznytu. Zawodnicy z Nowej Anglii – nie ustają w biegu od stu lat!

Jeśli uznać, że nasz klub biegowy swoją świetność osiągnął w 1979 roku, to była jego prawdziwa inauguracja. Trener Squires szalał z radości, podobnie zresztą jak koledzy z zespołu. Wszyscy – nie wyłączając mnie – starali się na swój sposób ocenić, co oznacza dla nas to zwycięstwo. Nawiązanie równorzędnej walki z olimpijczykami na zawodach w Maroku było niemałym osiągnięciem

– prawdziwi biegacze, jak Amby, świetnie to rozumieli. Ale mnie daleko było do statusu uznanego maratończyka, więc mój wyczyn tamtego dnia w Bostonie był trudny do wyobrażenia. Nikomu nie przeszło przez myśl, że potrafię biegać tak szybko. A ja pobiegłem jak opętany.

„Dla mnie, fana sportu, wygrana Billy’ego w siedemdziesiątym piątym roku była czymś na równi z *home runem* Carltona Fiska w decydującym momencie szóstego meczu baseballowego podczas World Series. Patrząc, jak twój przyjaciel pobija rekord w maratonie – to jedno z najpiękniejszych sportowych wydarzeń, jakich byłem świadkiem” – wspomina Jack McDonald.

Ludzie sądzą, że maraton jest sportem dla odludków, ale to nieprawda. Ta dyscyplina budzi wielkie emocje – między innymi dlatego organizuje się tak wiele akcji „Biegam dla...”. Fundacje i organizacje charytatywne zdały sobie sprawę z jej potencjału i starają się wykorzystać trud oraz poświęcenie biegaczy na rzecz potrzebujących. Wtedy nie wiedziałem wprawdzie, czy robię to też dla innych, ale bezspornie czułem się częścią zażyłej wspólnoty biegaczy. Mój kolega z zespołu, Scott Graham, który później zrobił album z wycinków z gazet z reportażami z tego biegu, podszedł do mnie i na środku zatłoczonego baru serdecznie mnie uściskał.

W Eliot Lounge nie zabrakło też mojego partnera treningowego, Seva, ale stary weteran z Wietnamu wołał raczej serdecznie palnąć mnie w plecy, co – jako człowiek postury żaby Kermita, ważący słuszne pięćdziesiąt siedem kilogramów – mocno odczułem. „Bill nie zdawał sobie z tego sprawy, ale w dniu, gdy pobiegł maraton w dwie godziny dziewięć minut i pięćdziesiąt pięć sekund, siedzieliśmy z Dickiem Mahoneyem w samochodzie, obok remizy strażackiej w pobliżu dwudziestego siódmego kilometra trasy – tam, gdzie biegacze skręcają w Commonwealth Avenue i zaczynają wspinaczkę na Newton Hills” – wspomina Sev. „Staraliśmy się jakoś dojechać na metę – Dickie prowadził, bo ja miałem nogę w gipsie – a dziennikarze w radiu o Billym nawet się nie zająknęli, bo nie mieli pojęcia, kto to taki. Raz tylko wspomnieli, że zatrzymał się na Heartbreak Hill, żeby napić się wody. A potem cisza w eterze. Zaginiony w akcji. Wtem ogłosili, że wygrał. Pamiętam, że zatrzymaliśmy się w pół drogi i zaczęliśmy z Dickiem ryczeć jak bobry – zresztą czuję, że za chwilę znowu się poryczę – bo znaleźmy go przecież tak dobrze; obserwowaliśmy, jak się rozwija”.

Faktycznie zamówiłem błękitnego wieloryba – miks curacao, wódki, ginu i rumu. Specjalność Tommy’ego Leonarda, serwowana w dużej szklance od Guinnessa, wyglądała jak płyn do mycia szyb. Tyle że samego Tommy’ego Leonarda, głównodowodzącego naszych imprez, dziwnym trafem nigdzie nie było.

Jak się potem okazało, Tommy wynajął pokój w Hotelu Eliot, gdzie postanowił przysposobić się do imprezy: wziął gorącą kąpiel, suto zakąszaną smażonym ryżem i zakrapianą piwem. „Pamiętam tylko, że obudziłem się zmarznięty na kość w wannie otoczonej pojemnikami po smażonym ryżu i flotyllą puszek po piwie. Wstyd przyznać, ale obawiam się, że trochę przesadziłem” – wspomina Tommy. Nikt inny, tylko on – człowiek, który najzwyczajniejszy wtorek w Eliot Lounge potrafił przeistoczyć w fantastyczną okazję do imprezowania – mógł przegapić największą celebrytę w historii własnego pubu.

Opalizująca na niebiesko zawartość szklanki Charliego dowodziła, że on także zapoznał się z błękitnym wielorybem. Wolną ręką ujął mnie za ramię i powiedział:

– Nie mogę uwierzyć, że wygrałeś. Biegłeś tak lekko, jakby to była dla ciebie fraszka.

– Czulem się świetnie – odparłem. – Fantastycznie się bawiłem.

– Pamiętasz, jak na trasie kazałem ci zwolnić?

– Jasne.

– Oficjalnie przyrzekam, że już nigdy w ciebie nie zwątpię.

Roześmialiśmy się obaj.

Tego wieczoru zapisałem w dzienniku treningowym: „Wygrałem 79. maraton bostoński w czasie 2:09:55. Nowy rekord życiowy na tym dystansie. Łączna liczba pokonanych kilometrów: 42,2”.

Następnego dnia po powrocie do naszego małego mieszkanka, przy pizzy dokończyłem wywiad z Amby. Byłem obolały, ale to był dobry ból. Starałem się jak najlepiej przypomnieć sobie wydarzenia poprzednich dni, ale ani mnie, ani Amby’emu nie przychodziło to łatwo. Poprosiłem, żeby opowiedział mi, jak mu się biegło. „Na trasie pytałem ludzi, jak ci idzie” – relacjonował Amby między kęsami pizzy. „Bez przerwy powtarzali, że jesteś w czołówce, co mnie coraz bardziej elektryzowało. Gdzieś koło dwudziestego dziewiątego kilometra napotkałem trenera Squiresa, który powiedział mi, że wyprzedzasz wszystkich o dobre czterysta metrów, a potem dodał, krzycząc: »Z wynikiem o minutę lepszym od rekordu trasy!«. Wtedy zacząłem prosić ludzi o podrzucenie w okolice Prudentiala, bym mógł zobaczyć, jak finiszujesz, ale odmawiali, tłumacząc, że nie sposób będzie się przebić przez tłumy. Pognałem więc do mety najszybciej jak umiałem”. Rzeczywiście, Amby pobiegł tak szybko, że osiągnął czas 2:21:20 – prawie minutę lepszy niż jego zwycięski rezultat w 1968 roku.

Rozpierała mnie duma, że jestem zaledwie piątym Amerykaninem, któremu udało się zwyciężyć w Bostonie, odkąd Johnny Kelley triumfował w nim dwu-

krotnie, w 1935 i w 1945 roku. Nie mogłem się nadziwić nici łączącej moje osiągnięcie z dokonaniem poprzedników – biegaczy Nowej Anglii. Johnny „Młodszy” Kelley, który zwyciężył w 1957 roku, wzorował się na „Starszym” Kelleyu – nazywał go „powiernikiem i znakomitym mentorem”. W latach pięćdziesiątych Johnny Kelley zrewolucjonizował podejście do maratonu w Ameryce. Zerwał ze starymi, monotonnymi metodami treningowymi i zastosował techniki, które pozwoliły mu na utrzymanie wysokiego tempa na całym czterdziestodwukilometrowym dystansie. Następnie przekazał tę tajemną wiedzę Amby’emu Burfotowi – wówczas jednemu z jego wychowanków w szkole średniej Fitch, w Groton, w stanie Connecticut.

Niesiony marzeniem o pójściu w ślady Kelleya, Amby został kolejnym Amerykaninem, któremu udało się zwyciężyć w maratonie bostońskim – było to w 1968 roku. I oczywiście to ten sam Amby, mój współlokator z Wesleyan, który nakłonił mnie do biegania długich dystansów (wciąż pamiętam dwudziestojednokilometrowy bieg w czasie zamieci!) wpoił mi szacunek dla maratonu bostońskiego i wszystkiego, co ten bieg reprezentuje. To od niego nauczyłem się czerpania radości z długich wybiegań na łonie natury, był dla mnie wzorcem poświęcenia i ciężkiej pracy, koniecznych, by spełnić marzenia o wygranej w maratonie. „Kiedyś – w połowie lat sześćdziesiątych – Frank Shorter, Bill Rodgers, Jeff Galloway i ja mieszkaliśmy w Connecticut, w promieniu najwyżej osiemdziesięciu kilometrów od domu Kelleya w Mystic” – wspomina Amby. „To nie przypadek, że żyliśmy niemal w sąsiedztwie i nieprzypadkowe były nasze maratońskie i biegowe kariery. Kelley był pionierem. Przetarł szlaki. Reszta poszła w jego ślady. Cały amerykański boom na bieganie ma swoje źródło w nim i w metodach, jakie obrał”. Teraz, kiedy laurowy wieniec ozdobił moją głowę, tym bardziej doceniłem niezwykle zaszczyt, jakim była możliwość współtworzenia legendy biegowej Nowej Anglii.

Zwycięstwo w maratonie bostońskim wykreowało mnie na lokalnego bohatera i przysporzyło niewysłowionej radości. Przez długi czas chodziłem z głową w chmurach. Tydzień albo dwa później pojechałem odwiedzić rodzinę w Connecticut. Na styropianowej tablicy siostra i ojciec zrobili wielki napis: „TO BYŁ DOBRY BIEG, BILL!” i powiesili na werandzie.

Do dziś, kiedy ludzie pytają o mój ulubiony maraton, odpowiadam: Boston 1975. Przez kolejnych pięć lat brałem udział w innych fantastycznych maratonach, ale ten był przełomowy. Od tamtej pory mogłem się nazywać światowej klasy maratończykiem i godnym przeciwnikiem najlepszych biegaczy, nawet niezrównanego mistrza tego sportu – Franka Shortera.

O istnieniu książki *Marathon Man* dowiedziałem się niespełna rok temu od warszawskiego szybkobiegacza Bartka Olszewskiego. Poszukałem, zajrzałem i... postanowiłem namówić kochającą bieganie Galaktykę do wydania polskiego przekładu. Wspaniale, że nie kazali się długo prosić.

Bill Rodgers to całkiem zwyczajny facet, który stał się legendą. Miał tylko pecha: urodził się zbyt wcześnie. Dziś ze swym charakterem, umiłowaniem ciężkiej pracy i pasją byłby wielką gwiazdą i zarabiałby zasłużone, ciężkie pieniądze. A w kraju tak ostatnio rozkochanym w bieganiu jak Polska stałby się idolem formatu Cristiano Ronaldo. Tymczasem zna go mało kto. Faceta, który w niesamowity sposób po cztery razy wygrywał maratony w Bostonie i Nowym Jorku, nie ma nawet w polskiej wersji popularnej internetowej encyklopedii, choć... jest w niej ponoć wszystko.

*Marathon Man*, a właściwie *Maratończyk* – tę wielką lukę na szczęście likwiduje. Zawsze myślałem, że fajnie byłoby pobiec w Bostonie. Po przeczytaniu wspomnień Rodgersa Boston stał się moim marzeniem...

*Piotr Falkowski*  
dziennikarz TVP Sport, maratończyk

Rodgers pod wieloma względami pozostaje najpopularniejszym biegaczem wszech czasów.

*„Runners World”*

Bill Rodgers... „Kto to taki!?” – zapyta polski maratończyk. To taki Michael Jordan maratonu. Taki Niki Lauda i Boris Becker w jednej osobie. Sęk w tym, że jego sława przypadła na czas, gdy bieganie długich dystansów w naszym kraju było zajęciem kuriozalnym i dziwnym.

W roku 2014 Amerykanie piali z zachwytem, bo w maratonie bostońskim wygrał ich rodak. Otóż na przełomie lat 70. i 80. XX wieku Bill zrobił to cztery razy. Tyle samo razy triumfował w Nowym Jorku.

Był biegającą maszyną, ale historia, którą opowiada, jest bardzo ludzka. Pełna wzlotów i upadków. Zwątpień młodego chłopaka dorastającego w Stanach Zjednoczonych zaangażowanych w wojnę wietnamską. Bill jest bezpretensjonalny – nie stroczy piórek, opisuje siebie raczej jako lekkoducha szukającego w bieganiu radości. Dlatego książkę czyta się dobrze. Przy okazji lykamy kawał historii najnowszej USA i oczywiście dziejów maratonu bostońskiego.

*Krzysztof Dołęgowski, ultramaratończyk,*  
redaktor portalu *napieraj.pl*

PATRONAT MEDIALNY

[www.galaktyka.com.pl](http://www.galaktyka.com.pl)

**RUNNERS**  
SPORT



**bbi**  
BiegamBoLubie

**TVP**  
**SPORT**

**POLSKABIEGA.PL**

ISBN 978-83-7579-348-2

